

i zastanawia się nad zagrożeniami dla tej — raczej skromnej jego zdaniem — dozy równości, z którą mamy teraz do czynienia w Europie. Optymizm uchodzi za oznakę naiwności, nie sądzę jednak, aby uzasadnione tu były jakieś katastroficzne wizje. Nie powinniśmy nie doceniać siły współczesnego przywiązania do idei równości. Zacytuję pierwszy akapit eseju Pomiana: „Rzekomo wszyscy jesteśmy sobie równi. Ale nierówności biją w oczy na każdym kroku. Szerzy się wrażenie, że rosną. Hasło obrony równości obywateli gromadzi tłumy »oburzonych« przed siedzibami władz” (s. 7). Trudno o zwięźlejszą i sugestywniejszą charakterystykę obecnego stanu rzeczy. Pragniemy równości, widząc w niej wartość tak ważną, że ostatnio przeciwko dochodowo–majątkowym dysproporcjom występują — z niejednakowych, jak sądzę, powodów — ludzie z zaskakująco rozmaitych środowisk znacznie różniący się ideowymi sympatiami. To powszechne przeświadczenie, że powinniśmy posuwać się w stronę nieosiągalnego zapewne ideału, jest jednym z dwóch czynników, które sprawiają, że mało prawdopodobny wydaje się zwrot w stronę nierówności. Drugi to zachowanie pewnego poziomu gospodarczej stabilności i względnego dostatku. Za niebezpieczną iluzję uważam pogląd, że sprawie równości będzie służył odrzucenie rozwojowych mechanizmów gospodarki rynkowej.

Tomasz Kizwalter
Uniwersytet Warszawski
Instytut Historyczny

Tomasz Kizwalter, *W stronę równości*, Universitas, Kraków 2014,
s. 198

Dobrze, że wśród autorów książek historycznych są jeszcze tacy, którzy odważają się na rozważania o zagadnieniach ogólnych, ponadpokowych i wykraczających przez to poza czyjąkolwiek ścisłą specjalizację. Takie rozważania niosą ze sobą ryzyko nieporozumień i błędów rzeczowych w mniej lub bardziej drobnych sprawach. Mają jednak nieoceniony walor: dotyczą kwestii najbardziej interesujących, najczęściej spornych, ale decydujących o ogólnym obrazie dziejów i o wyborach światopoglądowych. W takiej sytuacji niezbędna jest erudycja ogólna i historyczna oraz umiejętność formułowania twierdzeń ogólnych, o wielkiej doniosłości, choć zarazem zachęcających do krytycznego podważenia i polemiki.

To wszystko odnosi się do niezbyt obszernej, ale doniosłej książki Tomasza Kizwaltera. Autor stara się przedstawić losy zasady równości poprzez wieki, dochodząc do czasów współczesnych, które wydają mu się pod względem zakresu równości lepsze niż kiedykolwiek przedtem, byle tylko sprzyjała koniunktura gospodarcza (s. 187). Książka ta to esej historyczny wkraczający też na teren nauk politycznych, socjologii, historii idei i filozofii społecznej. W części pierwszej znajdziemy historyczny przegląd problematyki, w drugiej — ekskurs polski, w trzeciej — problem równości we współczesności wraz z aktualnymi wnioskami.

Książka jest napisana z klasą wynikającą z erudycji i doświadczenia. Recenzenta najbardziej ujmuje ostrożność autora w nadawaniu absolutnego charakteru swoim tezom i zdrowe poczucie względności wszelkich formuł uogólniających. Taka taktyka pisarska budzi zaufanie czytelnika.

Wstęp poprzedzający właściwy tekst powołuje się na wspomnienie autora jako dwudziestolatka i studenta w latach siedemdziesiątych XX w., gdy uchwycił analogie między konserwatyzmem Kajetana Koźmiana a współczesnym mu konserwatyzmem Gomułki czy jemu podobnych. Analogie te autor dziś ogniskuje wokół problemu prawa każdego (obywatela?) do udziału we władzy, którego Koźmian odmawiał „motłochowi”, Gomułka zaś „elementom antysocjalistycznym”. Doświadczony autor omawianej książki szczerze obwarował się przed zarzutami nieuzasadnionej historycznie analogii i nie zostawił tu prawie żadnej szczeliny. Można tylko zauważyć, że porównanie motywacji Koźmiana i Gomułki jest trochę sztuczne. Bardziej przemawia do czytelnika analogia wynikająca z zależności Królestwa Kongresowego i PRL od tej samej Rosji (choć w różnych epokach i różnych jej odsłonach).

Przejdźmy jednak do podstawowego tekstu. Przegląd historyczny sięgający czasów starożytnych nie może być systematyczny i autor „idzie, skacząc po górach”, co zresztą dotyczy i innych części pracy. Zatrzymuje się przy starożytności klasycznej, gdy przyrodzona nierówność ludzi wraz z niewolnictwem były rzeczą oczywistą. Słynny rzymski uczony autor, Marcus Terentius Varro (zm. w 27 r. przed Chr.), w swojej „De re rustica”, pochodzącej z 37 r. przed Chr., pisze (I, 17) o kategoriach inwentarza rolniczego: *instrumentum vocale, semivocale et mutum*, a więc narzędzie obdarzone mową, czyli niewolnik, obdarzone głosem, czyli bydło, i narzędzie nieme, np. pług. Ograniczę się do zwrócenia uwagi na ewolucję, która zachodziła w tej kwestii na przełomie epok. Autor wspomina o wyprzedzających swój czas poglądach stoików na niewolnictwo. Zwłaszcza na przełomie starej i nowej ery symptomy zmian były wyraźne, jeszcze przed pojawieniem się chrześcijaństwa. Przypomnijmy tu pozycję faraona i prostego Egipcjanina w zaświatach — była nieporównywalna. Teraz zaś Horacy, który zmarł tuż przed narodzeniem Chrystusa, we wspaniałej odzie (pieśni) „Eheu fugaces” — tej samej, do której nawiązuje Adam Mickiewicz („Biada nam zbiegi, żeśmy w czas morowy lęklive nieśli za granicę głowy”), wskazuje na jednakowy los ludzi w zaświatach, *sive reges sive inopes erimus coloni*, czy są królami, czy biednymi chłopami–kolonami. A Seneka Młodszy, zresztą stoik, w „Listach” do Lucyliusza, pochodzących z ok. 65 r. n.e., wypowiada słynne słowa o niewolnikach, których miał dopuszczać do swego stołu: *servi sunt. Immo homines* — To niewolnicy. Ale przecież są ludźmi! A więc w poglądach sprzed 2 tys. lat coś ulegało zmianie. Od *instrumentum vocale* Varrona do *immo homines* Seneki upłynęło zaledwie sto lat.

Autor wspomina o roli chrześcijaństwa w stosunku do idei równości, podkreślając dialektykę równości w zaświatach i nierówności doczesnej. Problem ten zasługuje na jeszcze mocniejsze podkreślenie, a zawiera w sobie także kwestię roli i praw kobiety, która właściwie w tej pracy została pominięta (choć gdzie indziej autor wspomina o roli rodziny w koncepcji społeczeństwa cywilnego u Napoleona czy o problematyce seksualno–społecznej poruszanej przez Freuda), a do sprawy równości oczywiście należy. Odnosi się to zwłaszcza do czasów sprzed edyktu mediolańskiego. Późniejszy cesaropa-

pizm, zwłaszcza od czasów Teodozjusza Wielkiego, stanowił wcielenie nierówności społecznej uzasadnionej także transcendentnie, na płaszczyźnie religijnej.

Od początków chrześcijaństwa autor przechodzi do nierówności w społeczeństwach stanowych i do nowszej jej postaci w społeczeństwie mieszczańskim. Przełomowe znaczenie miały idee oświecenia, a za życia Kanta, zdaniem autora, „praktyka społeczna zaczynała pod pewnymi względami zbliżać się do tego, co zalecał” (s. 42) tj. do zasady równości. To nieoczekiwane twierdzenie wydaje się symptomatyczne, gdy zajrzy się na koniec książki, gdzie autor dostrzega w naszych czasach jakby praktyczne spełnienie się równości. Zauważmy, że autor pisze o praktycznej realizacji równości, a nie tylko o tym, że Kant głosił równość, którą negowali Platon i Arystoteles. Optymistyczne nastawienie autora jest więc widoczne nie tylko we wnioskach końcowych. Żeby pozostać przy pojęciach oświeceniowych przypomnijmy, że optymistycznego po leibnizowsku Kandyda Wolter wiedzie jednak przez kontakt z praktyką w stronę mniej optymistycznej filozofii.

W dalszym ciągu swoich wywodów autor rozpatruje różnice między „ludem” a „motłochem” na tle dziewiętnastowiecznych dyskusji o niebezpieczeństwach równości politycznej i powszechnego prawa głosowania. Ten ciemny i wzburzony element ludowy trzeba wychowywać, oświecać, ale także „nadzorować i karać” (Michel Foucault), a dotyczy to nie tylko motłochu, lecz także całego społeczeństwa. Tendencja autorytarna dopuszcza demagogię, by nawiązać kontakt z masami, dać im poczucie udziału jeśli nie we władzy, to we wspólnocie. To wymarzona rola dla państw narodowych reprezentujących wspólnotę narodową. Toteż odegrały one i odgrywają nadal dwuznaczną rolę wobec problemu równości. Wreszcie lud i motłoch wracają w czasach nowszych w rozróżnieniu demokracji i populizmu, rozróżnieniu często dwuznacznym i instrumentalnie wykorzystywanym. Do tej problematyki autor wróci w części trzeciej. Przymus i nierówność w dziedzinie obyczajowej, określane syntetycznie przez pojęcie epoki wiktoriańskiej, z czasem ulegał także złagodzeniu, przypomina autor. Współczesna demokracja liberalna zawiera w sobie sprzeczność, gdyż jest (i nie może nie być) rządami elity, a raz po raz wchodzi w konflikt z wolą większości, którą wtedy określa mianem populizmu. Rzekomym suwerenem jest większość ciała politycznego, ale rząd, który sprawowałby władzę od sondażu do sondażu, czyniąc to, czego sobie w danym momencie życzy większość, nie zagrażałyby długo miejsca.

Więcej emocji budzić u nas musi druga część książki poświęcona Polsce i jej historii. Autor udziela sporo miejsca Polsce przedrozbiorowej, dziewiętnastowiecznej i reformom agrarnym, sporo też pisze o Polsce Ludowej i o kluczowym dla podjętego tematu zagadnieniu: „Dwie Polski”. To tytuł rozdziału i nie opatrzone go znakiem zapytania, należy go więc uznać za tezę. Treści tej części książki poświęcę nieco więcej miejsca.

Wywody autora dotyczące „historyczności” polskiego narodu i uwarunkowania jej przez nosiciela państwowości — szlachtę — nie budzą zastrzeżeń. Autor opisuje komplikacje, które powstały, gdy ziemiaństwo, nawiązujące do dawnej szlachty, utraciło wyłączność na reprezentację narodu. Nie można rozważać tych kwestii bez zajęcia stanowiska w kwestii reform agrarnych i w ogóle kwestii agrarnej. Za czasów marksizmu-leninizmu pisano u nas o francuskiej, czyli rewolucyjnej drodze załatwienia tej kwestii, przeciwstawiając jej „pruską drogę”, synonim cierpień i ucisku chłopów. Autor zajmuje wyraźne stanowisko — według niego właśnie tylko w zaborze pruskim kwestia agrarna rozwinęła

się właściwie, a ustrój rolny tam powstały, z przewagą wielkiej własności i zamożnych gospodarstw chłopskich, sprzyjał rozwojowi na modłę zachodnioeuropejską. Drobne chłopstwo, jak w Galicji i w Królestwie, to wynik polityki agrarnej Austrii i caratu, a zarazem recepta na zacofanie. Ciężało to na II Rzeczypospolitej, a autor idzie w swoich rozważaniach tak daleko, że z lekkim jakby żalem notuje klęskę kolektywizacji w PRL, gdyż pozostawiła ona „niedokończoną modernizację” (s. 134).

Nie chcę wracać do przytoczonej formuły dwóch dróg rozwiązania kwestii chłopskiej. Nie można jednak wzruszyć ramionami tylko dlatego, że pisano o tym w czasach PRL. Nie było u nas warunków dla modelu francuskiego, co nie znaczy, że nie dostrzegamy faktu, że chłopci, beneficjenci rewolucji, byli podstawą rozwoju gospodarczego i cywilizacyjnego Francji w XIX w. i to niezależnie od tego, jak oceniamy przywołane przez autora poglądy Eugena Webbera, który kładł nacisk na rolę państwa we Francji w procesie integracji narodowej, głównie w czasach posadańskich. Zauważmy, że powieść Balzaca „Chłopi” daje swoiste świadectwo modernizacji Francji lokalnej w epoce monarchii lipcowej, gdzie wielka własność ulega parcelacji na rzecz chłopów, ku zgrozie konserwatywnego autora. Książka wyszła już po śmierci Balzaca (lekką uzupełnioną przez Ewelinę Hańską), kiedy do czasów posadańskich i III Republiki było jeszcze daleko. Oczywiście „Les Paysans” to nie żaden dowód, lecz ilustracja aktywności warstwy wyzwolonej przez rewolucję, by użyć tak schematycznego zwrotu.

Trudno natomiast nie brać pod uwagę cierpień i degradacji ogromnej części ludności chłopskiej, co było warunkiem błogosławionej, zdaniem autora, pruskiej reformy. Główna jednak sprawa, to twierdzenie, że masa drobnego chłopstwa i półproletariatu to źródło ogólnego zacofania. Nie należy mylić skutku z przyczyną. A ta ostatnia to brak industrializacji i niedostateczna urbanizacja. W Prusach masy wydziedziczonych miały gdzie się obrócić, bo nawet w agrarnych prowincjach wschodnich była praca w rolnictwie i powstającym przemyśle przetwórczym, nie mówiąc już o Nadrenii z jej przemysłem i górnictwem. Stosunki rolne należy traktować nie jako przyczynę zacofania, ale jako jego skutek.

Poprzez wiele interesujących zagadnień z tego zakresu i błyskotliwych spostrzeżeń rozważania docierają do czasów PRL. Tu autor notuje generalne zacofanie oraz ograniczony charakter modernizacji kraju i społeczeństwa. Bardzo słusznie kwestionuje zabiegi niektórych teoretyków o werbalne unieważnienie zacofania jako pojęcia i jako opisu rzeczywistości, np. międzywojennej (s. 126–127). Zacofanie w ujęciu autora to głównie skutek przetrwania pozostałości dawnego społeczeństwa w postaci wspomnianej wyżej „kwestii agrarnej”, a więc przewagi drobnego i karłowatego rolnictwa utrzymującego wiejski półproletariat i proletariat rolny. I tu spotykamy się z tytułową problematyką książki — z kwestią równości i jej braku. Od wieków, a tym bardziej w wieku XIX, nie mogło być równości, gdyż społeczeństwo składało się z dwóch przeciwstawnych światów: panowie i chłopci, a w późniejszym wymiarze miasto i wieś. W dalszych rozważaniach autor daje wielokrotnie wyraz swej ostrożności naukowej, wystrzegając się albo ostrzegając przed powierzchownymi analogiami. W tym także np. między feudalizmem a socjalizmem typu PRL w zakresie władzy i podległości. Ale pozostaje teza, że podstawą nierówności były „dwie Polski”, a więc z jednej strony „panowie”, kiedy indziej rządzący, czyli „władza”, a z drugiej „lud”, który coraz bardziej utożsamia się z narodem,

przy czym to utożsamienie zdaje się spełniać najmocniej gdzieś między 1980 a 1989 r. Po tej dacie powstają szanse realizacji prawdziwej równości, choć jakoś nie wszyscy to zauważają (s. 149–150).

Każdy z nas hołduje jakiemuś schematowi wyjaśnienia procesów społecznych i schemat autora trzeba uszanować, ale wolno wskazać na trudności przyjęcia takiego wyjaśnienia. Nie jest to proste, gdyż — o czym już wspomniałem — autor przy każdej tezie wskazuje na wątpliwości mu towarzyszące, z rzadka tylko afirmując je w całości. Przy analizie stosunków panujących w Polsce Ludowej powstaje pytanie, kto pełnił dawną rolę „panów”, a kto reprezentował teraz warstwę uciśnioną. Łatwo tu o podstawienia proste, ale i mylące. Aż się prosi, by mianem „panów” oznaczyć aparat partyjny, nomenklaturę czy jak to nazwiemy. Ale autor jest tu ostrożny. Słusznie zachowuje dystans do wypowiedzi Leszka Kołakowskiego o grupie rządzącej w Polsce Ludowej jako o „parweniuszach” (*notabene*, z jakiej pozycji Kołakowski tak ich określał?), wskazując na doraźny i rozrachunkowy charakter jego opracowania, które, dodajmy, raczej nie wytrzymało próby czasu. Niedawno złożyłem do druku szkic, który definiuje nomenklaturę w Polsce Ludowej i wskazuje na (oczywiście dość odległe) analogie z przedwojenną grupą rządzącą za czasów rządów autorytarnych¹. Jednak dla rozważań nad tym, czy istniały „dwie Polski”, czy też nie, szczególnie ważna jest analiza rozwoju warstwy inteligenckiej w latach 1944–1989. W swoim czasie pisałem o tym zagadnieniu². Autor książki opiera się w tej dziedzinie zbyt ściśle na opiniach Józefa Chałasińskiego o z wczesnych lat Polski Ludowej i na wywodach Kołakowskiego, które sam relatywizuje. Tymczasem w ciągu blisko 50 lat PRL, przy ogromnym wzroście liczby ludzi wykształconych, cała warstwa zmieniła swoją pozycję, przestała być elitą (na pewno jej poziom intelektualny i kulturalny się obniżył, choć bezpośrednie porównania są trudne i zawodne), ale stała się *quasi* — warstwą średnią ówczesnego społeczeństwa.

O luce w strukturach społecznych, pustce między szczeblem społeczeństwa/narodu a szczeblem rodziny (s. 143) pisał już dawniej Stefan Nowak i nie odnosił jej do inteligencji, lecz do całego społeczeństwa. Można powiedzieć, że późniejsze wydarzenia lat 1980–1981 jakby zakwestionowały tę ciekawą skądinąd tezę. Wróćmy jednak do inteligencji. Autor widzi gwaranta rozwoju demokracji i liberalizmu w mieszczaństwie i żałuje, że w Polsce warstwa ta była na tyle słaba, że wyręczać ją musiała w sposób niedoskonały inteligencja (s. 152). Temu zagadnieniu poświęciłem nieco uwagi we wspomnianym wyżej tekście z 2008 r., gdzie dowodzę, że w jakiś sposób w końcu Polski Ludowej istniał twór społeczny odgrywający rolę klasy średniej. Ciąg dalszy i przyspieszenie tej ewolucji widać wyraźnie w dobie współczesnej. Na tym tle teza o „dwóch Polskach” wydaje się mało wiarygodna, bo do której z nich należała milionowa nowa inteligencja czy warstwa średnia?

¹ J. Żarnowski, *Własność a struktura społeczna w Polsce 1918–1989*, [w:] *Materiały konferencji „Rewolucja społeczna” czy „dzika przebudowa”? Społeczne skutki przekształceń własnościowych w Polsce (1944–1956)*. Lublin, XI 2014 [w druku].

² J. Żarnowski, *Inteligencja w Polsce niepodległej, w epoce komunizmu i na progu transformacji*, [w:] *Inteligencja w Polsce: specjaliści, klerkowie, klasa średnia?*, red. H. Domański, Warszawa 2008, s. 81–102.

Przy okazji drobiazg: nie wiadomo skąd pojawiają się „robole”. Z kontekstu wynika, że termin ten wymyślili aparatczycy (s. 155). To by zaokrągliło wywody autora, ale czy takie twierdzenie ma podstawę? Sformułowanie pachnie raczej gwarą studencką i młodzieżową z okresu pojawienia się *quasi* — jawnej opozycji, pachnie kulisami scen czy scenek polityczno–kabaretowych, gdzieś z końca lat sześćdziesiątych i początku siedemdziesiątych, ale sprzed powstania KOR-u i „drugiego obiegu”, gdzie taki zwrot był wykluczony, chyba że podrzycony przeciwnikom. Partia zaś do końca celebrowała „robotnicze pochodzenie”, w Biurze Politycznym (a pewno i w KC) musiał być określony procent prawdziwych lub rzekomych robotników czy dawnych robotników. Chyba że chodzi o wypowiedzi „małżonek towarzyszy” — to byłoby dla mnie nieco bardziej prawdopodobne, ale chyba nie stąd mogło się wziąć wyrażenie, które zrobiło taką karierę. Bez „roboli” natomiast teoria „dwóch Polsk” staje się dość kusa.

Trzecia część książki, w której autor przedstawia swoje wnioski i poglądy, odzwierciedla jego szerokie czytanie, ale jej lektura nie jest łatwa. Na 20 stronach druku autor „rozprawia się” dosłownie czy w przenośni z autorami takimi, jak Theodor Adorno, Zygmunt Bauman, Detlev Peukert, Harold Marcuse, Giorgio Agamben, Reinhart Koselleck i jeszcze kilku czy kilkunastu innych. Kizwalter krytykuje pesymistyczną ocenę współczesnego ponowoczesnego świata i wątpliwości, czy modernizacja jako proces nie niesie ze sobą instrumentalnego i selektywnego traktowania jednostek. Jeden z punktów odpowiedniego rozdziału autor zatytułował: „Czy dobrobyt wyzwala?” i na to pytanie daje zdecydowaną odpowiedź pozytywną. Inny punkt zatytułowany „W stronę równości?” opatrzone znakiem zapytania, ale to jest właśnie główna teza autora. Prezentuje on bardzo optymistyczny ogląd współczesności. Wynika z jego wypowiedzi, że równość wraz z liberalną gospodarką i liberalną demokracją w krajach Zachodu dobiła właściwie do przystani i — jak to już wspomniałem wcześniej w tym tekście — rozwijać się będzie, jeśli tylko dopisze koniunktura gospodarcza. Bo zwiększanie się zamożności sprzyja równości i wyrównywaniu różnic, które, zdaniem autora, zachodzi w krajach Zachodu. Na tym tle i w Polsce równość zwyciężyła, tu już można nawet wymienić datę dzienną — pewno 4 czerwca 1989.

W książce Kizwaltera nie pada nazwisko Francisa Fukuyamy, ale wolno porównać przedstawione w niej wywody do koncepcji końca historii czy raczej, dodajmy od siebie, prehistorii prawdziwego Nowego Wspaniałego Świata. Autor polemizuje z różnej maści krytykami współczesności, którzy doszukują się w nowoczesności pierwiastków przemocy a nawet potencjalnego ludobójstwa. Pewno, że w tych tyradach filozoficznych jest sporo nieznośnego *recitativo*, by użyć zacytowanego tu przez autora wyrażenia Jerzego Jedlickiego (s. 183). Nie unieważnia to jednak wątpliwości. Autor stwierdza, że wzrost gospodarczy sprzyja równości. Innego zdania są jednak takie osoby, jak szefowa Fed-u, która wskazuje, że 30 lat temu 10% najbogatszych Amerykanów władało 30% majątku narodowego, dziś te 10% włada jego połową. W USA (wg rocznika CIA „The World Factbook”) górne 10% ma średnie dochody 8,8 razy wyższe niż dolne 10%. Podobnie ocenia się podział dochodów w krajach Unii Europejskiej (Francja 8,3, Niemcy 6,9, cała UE 9). Wzrost gospodarczy, jeśli jest (a nie zawsze jest), powoduje słabą widoczność tego zjawiska wobec stopniowego podnoszenia się zamożności przeciętnej jednostki. Ale skąd wiara, że koniunktura jest dana na zawsze? Raczej wiemy na pewno, że

tak nie jest. Nie wiadomo, czy autor byłby tak optymistyczny, gdyby dziś pisał swój tekst, a nie parę lat temu.

A czy wyprawy wojenne jawne czy zakamuflowane, które rzekomo mają usunąć „złe” reżimy, a prowadzą do wybuchów sprzeciwu i do okropności graniczących z ludobójstwem oraz ucieczki i wymuszonej migracji milionów nieszczęśliwych mieszkańców, nie są przyczynkiem do problemu równości, a raczej braku równości narodów, w końcu też istotnej obok równości abstrakcyjnych jednostek? Czy hegemoniczne praktyki współczesnych mocarstw, wcale nie tak odległe od podobno odrzuconych dziewiętnastowiecznych standardów, również nie powinny stać się przedmiotem rozważań? Tego zagadnienia, w szczególności pytania, czy narody cieszą się jakimiś prawami, na przykład prawem do równego traktowania, do własnych rządów i suwerenności, autor w ogóle nie porusza. Nawiasem mówiąc, poza zachodnim „światem równości”(?) pozostaje większość ludzkości. Jakie są perspektywy tej większości, bez czego trudno mówić także i o perspektywach Zachodu, o tym autor nie wspomina.

Kizwalter kończy apostrofą do koniunktury. Ale tu pojawia się zasadnicze pytanie, któremu nie poświęcił ani słowa. Czy koniunktura, a więc wzrost i rozwój, mogłaby funkcjonować w świecie pozbawionym nierówności, konfliktu, rywalizacji i związanego z tym ryzyka? Wydaje się, że historia systemu komunistycznego i jego upadku — także w formie realizowanej dziś w Chinach — dała na to pytanie oczywistą odpowiedź. Kapitalistyczna rywalizacja z natury rzeczy prowadzi do nierówności, ale alternatywą jest, jak powiedział Winston Churchill, „równy podział biedy”. W jakim stopniu i w jakim zakresie warto zatem walczyć o tę upragnioną równość, tak, aby nie prowadziła do zabójczego zastoju?

Zapewne można by dłużej ciągnąć listę różnych wątpliwości, bo też omawiana książka ma zakres bardzo szeroki i autor po drodze potrąca wiele dyskusyjnych kwestii. Ważne jest jednak to, że mamy do czynienia z tematem o wysokiej randze dla poszukujących syntezy historycznej, politologicznej i filozoficznej, a także o wysokiej aktualności. Erudycja i talent autora tworzą ramy dla szerszej refleksji czytelników i recenzentów, którzy zapewne wskażą i inne aspekty tej problematyki, problemy których nie zauważył niżej podpisany.

Janusz Żarnowski
Polska Akademia Nauk
Instytut Historii

Sex in Antiquity. Exploring Gender and Sexuality in the Ancient World,
edited by Mark Masterson, Nancy Sorkin Rabinowitz, James
Robson, Routledge, London–New York 2015, s. 567

Zainteresowanie seksualnością, życiem seksualnym i obyczajowością w zakresie erotyki nie słabnie od lat, co z pewnością jest — lub było — przede wszystkim rezulta-